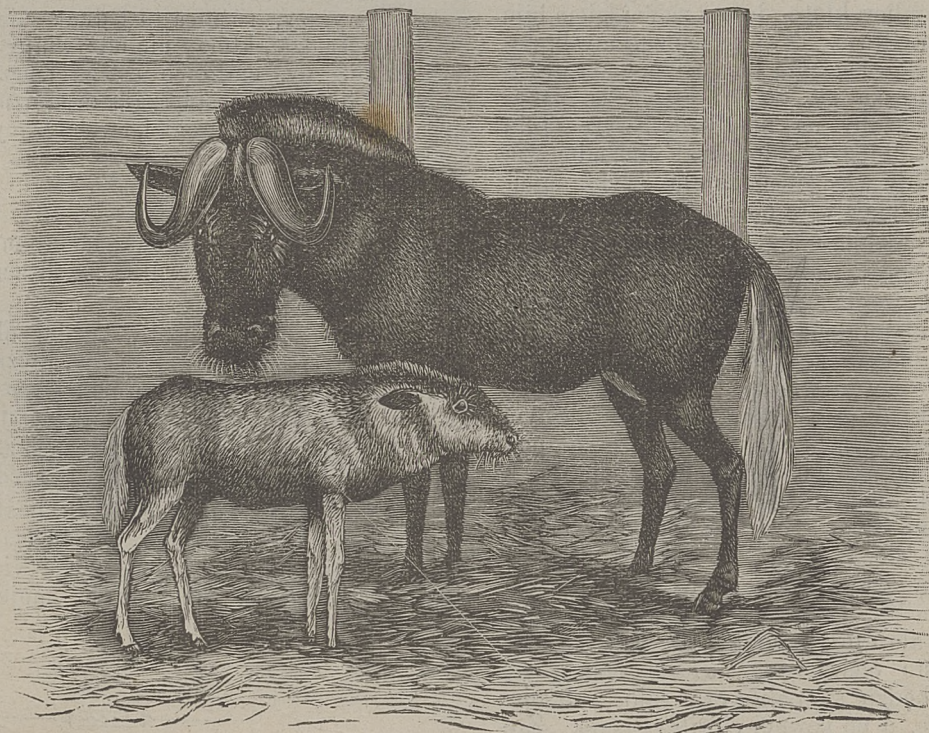




WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



G N U.

Zwierzę to zbliża się do gatunku antylopy, żyje w południowej Afryce, głowę ma podobną do wołu, z rogami w tył zagiętymi, ogon włosisty jak u konia, kark gruby, ozdobiony stojącą grzywą. Większy od osła, gnu z natury dziki i ostrożny, rogami broni się odważnie w razie napaści, a uciekając biegnie szybko. Głowę jego szpeci gęsty zarost na kości nosowej i brodzie, ale korpus i nogi ma kształtne, proporcjonalne, ruchy jego na wolności lekkie i zwinne. Ogród zoologiczny

w Hanowerze posiada dwa okazy tych zwierząt, starsze hodowane; przyswojone potrochu, utraciły wiele z wrodzonej dzikości i nie bronią do siebie przystępu swemu dozorczy. W zaprzeszłym roku przybyło tam na świat małe gnu, co w klimacie europejskim stanowi dość rzadkie zjawisko. Od pierwszej chwili urodzenia, stworzonko to stało się celem obserwacji naukowych dla miłośników przyrody; szersze jego była brunatno-żółtawego koloru, głowę miało gęsto poro-

śniętą i tylko małe wypukłości oznaczały miejsce rogów. Kark opatrzone był stojącą grzywą, smagły korpus osadzony na cienkich i delikatnych nogach. Po kilku tygodniach zmienił się wygląd zwierzęcia; rogi stały się widoczniejsze, grzywa i ogon dłuższe. Z wiosną szerść brunatno-żółta przybrała barwę szarą, właściwą tym zwierzętom w wieku dojrzałym. Ponieważ wszystko w naturze ma swój cel i przeznaczenie, wnosić należy, że kolor szerści małych gnu, niezdolnych jeszcze do szybkiego biegu, dla tego nie różni się od koloru spalonych słońcem afrykańskim traw i roślin, iżby biedne zwierzątka ukrywać się wśród nich mogły bezpiecznie, przed napaścią drapieżnych nieprzyjaciół.

POGADANKA ZE STARSZYM BRATEM.

III.

Tydzień przy pracy mija szybko, a wypoczynek niedzielny jakże jest pożądanym. Zosia w dniu tym obudziła się z uśmiechem zadowolenia, powtarzając sobie: cały dzień swobody, ale twarzyczka jej zachmurzyła się z chwilą, gdy podeszła do okna. Cóż widzi? na ulicy błoto, deszcz ze śniegiem bije o szyby, wiatr huczy przeraźliwie. Z przechadzką myśli, pożegnać się trzeba, jedno tylko pociesza ją. Niepogoda i Stasia zatrzyma w domu, uproszę go, to mi jeszcze co ciekawego opowie. Ranek, spędzony na modlitwie i wyręczaniu mamy, zeszedł prędko, po obiedzie dobry brat nie odmawia dalszego opowiadania. Gdy więc Zosia zajęła zwykle miejsce w gabinecie, pan Stanisław w te odezwał się słowa.

— Teraz zapewne rozumiesz już dlaczego w sali, gdzie czas dłuższy przebywało więcej osób, powietrze jest zepsute. Jest w niem zawiele kwasu węglanego; jeżeli nie otworzymy okna, oddychanie będzie utrudnione. Gdyby krew przesycona kwasem węglanym nie mogła się dostatecznie odświeżyć, człowiek udusiłby się. Powietrze więc pod wpływem którego dokonywa się przemiana krwi, jest warunkiem nieodzownym do życia dla ludzi i zwierząt. Jeżelibym umieścił ptaszka pod kloszem, z pod którego jakimkolwiek sposobem zdołałbym usunąć powietrze, ptaszek umarłby natychmiast, a gdybyś miała odwagę zrobić na nim sekcję, czyli zajrzeć do wnętrza jego ciała, przekonałabyś się, że krew jego byłaby zupełnie ciemną. Gdybym pod tym samym kloszem postawił zapaloną świecę, zgasłaby w tej chwili. Powietrze więc jest konieczne nie tylko do oddychania ale i do palenia. W dodatku powietrze to musi być często odświeżane. Jeżeli palącą się świecę nakryję kloszem, będzie się paliła czas jakiś, ale niedługo płomień jej zblednie, a po pewnej chwili zgaśnie. Zostawiony w tych samych warunkach ptaszek, po krótkim czasie okazywać zacznie niepokój, a jeżeli doświadczenie zechcemy przedłużyć, ptaszyna omdleje i umrze. Możemy łatwo zdać sobie sprawę z tego, co się tam stało.

Świeca paląc się zabrała z powietrza tlen, oddała mu w zamian kwas węglany. Ptaszek, oddychając, również zabrał tlen, a wydychając oddał kwas węglany, który jest bezużyteczny zarówno przy paleniu jak i przy oddychaniu.

Wobec otrzymanych rezultatów tak podobnych, łatwo można by wywnioskować, że oddychanie zwierząt da się porównać z paleniem, ponieważ palenie jest to właśnie łączenie się węgla z tlenem. Podobieństwo to można by wykazać innym jeszcze sposobem. Gdy palimy węgiel otrzymujemy ciepło. Tlen dostający się przez oddychanie do krwi, łączy się z węglem w naszych tkankach, czyli wytwarza się tam palenie, ztąd ciepło ciała, albo tak zwane ciepło zwierzęce. Jeżeli chcemy mieć ciepło w pokoju palimy w piecu. Natu-

ra posługuje się tym samym sposobem, aby wytworzyć ciepło w organizmie.

Wyobraź sobie piecyk, który ma ręce, mogące w każdej chwili sięgnąć po drzewka, i nogi mogące szukać ich, jeżeli się one w bliskości nie znajdują. Otóż piecykiem takim ty jesteś, usta twoje — to drzwiczki, przez które wchodzi paliwo, prawda, że nie pod postacią drzewa lub węgla, niemniej jednak paliwa dokładasz od czasu do czasu w formie chleba, mięsa, pożywnego rosółu, ciastek, konfitur i tylu innych rzeczy.

Co więcej piecyk ten ma tę jeszcze wyższość, że dniem czy nocą, zimą czy latem, czy to w chwilach sloty czy w najpiękniejszą pogodę, na lodach podbiegunowych jak pod palącymi promieniami słońca na równiku, utrzymywać będzie zawsze jednakową temperaturę. Możesz przekonać się o tem w tej chwili; weź do ręki termometr, który leży na stole, przypatrz mu się, ile stopni wskazuje?

14 $\frac{1}{2}$. Taka jest temperatura w pokoju. Weź go w rękę i przytrzymaj chwilę w zanikniętej dłoni.

O! podnosi się, podnosi.

Przypatrz się dokładnie, gdzie się zatrzyma. Tymczasem powiem ci jeszcze, że gdybyś odbyła z nim podróż naokoło świata, a po drodze mierzyła temperaturę wszystkich spotkanych ludzi, rezultat próby otrzymałabyś zawsze ten sam.

No, teraz powiedz mi, co ci tam termometr pokazał.

Pokazuje trochę więcej niż 37°.

Tak 37, 6, otóż taki mniej więcej stopień znalazłabyś u wszystkich zdrowych ludzi. U starców cokolwiek niższy u dzieci wyższy, różnica ta jednak nie wyszłaby z granicy 36 — 38°. Ludzie, którzy nie odżywiają się dostatecznie, mają wygląd mizerny, ciało ich jest wycieńczone, a wiesz w skutek czego? Gdy nie dostarczają organizmowi pokarmu, spala się przy oddychaniu węgiel, wchodzący w skład ciała czyli spalają się częściowo za życia.

— Ach co też ty mówisz?

— Tak, tak Zosieczko, całe setki takich biedaków przeżuwa się codziennie przed naszymi oczami, a ilu jest znowu takich, którzy organizm swój także niszczą, ale w inny sposób wskutek przesytu.

O pierwszych pomyśl w każdej chwili, gdy sytą już będąc dogadzasz tylko podniebieniu, racząc się jakimś słodyczami, za którymi, jak śniem podejrzewuję, przepadasz. Troska o drugich mnie w udziale przychodzi.

Zosia na wzmiankę o słodyczach zarumieniła się trochę, ale ująwszy rękę brata uściśliła ją serdecznie mówiąc:

— Nie żałuj, kochany Stasiu, poświęconych mi godzin, przyrzekam ci, że stracone nie będą. Z tą trochę wiedzy siostrze twej i dobroci przybędzie. Nie zobaczysz już, abym kupowała cukierki, oszczędności moje pójdą na chleb dla głodnych.

A. R.

LOSY ADASIA.

przez

Zofię Kowerską.

(Dalszy ciąg).

— Nic nie pomoże, nie będę na twoich wyścigach!

— To żałuj, bo to będzie bardzo ładne i zajmujące.

W sobotę Adaś przyszedł z prośbą do pani Bodzickiej.

— Moja mateczko — odezwał się — jabym potrzebował różnych kolorowych gałganków, wstążek a także większych kawałków.

— Na co ci to potrzebne?

— Bo ja urządzam jutro wyścigi.
 — Cóż tam znowu za wyścigi?
 — To taka zabawa. Będą biegać konie fornałskie. Matka śmiać się zaczęła.
 — To będzie coś ładnego! — odezwała się.
 Adaś się obraził.
 — To będzie i ładne i bardzo pożyteczne.
 — Pożyteczne z jakiego względu?
 — To w fornałach musi wyrościć emulację i da im pojęcie jak w kraju potrzebny jest chów pięknych i wytresowanych do biegu koni.

Pani Bodzicka śmiała się ciągle.

— Jakie z ciebie jeszcze dziecko, mój Adasiu — rzekła.

— Ale kiedy cię to bawi, zrób sobie wyścigi. Nie mam pojęcia jak to będzie urządzone, ale kawałków kolorowych dostarczyć ci mogę. Jest tam gdzieś na strychu cały worek rozmaitych skrawków, które chciałam jednej mojej znajomej ofiarować, bo ona z tego robi dywany. Zabierz to sobie, byleś mi w ogrodzie tem nie śmiecił.

Adaś copredziej wybrał się na strych z panną służącą i zszedł z tamąd obarczony kolekcją skrawków różnokolorowych, kawałków wstążek i materyałów rozmaitych. Z tego urządzone zostały chorągiewki, ubrania na głowy i szyje koni, kitki do czapek dla fornałi. Każdy fornał miał swoje barwy, których też udzielał koniowi na którym miał jechać. Na ugorze zrobione zostały niskie baryery, rowki, wreszcie meta. Kto dojechał do mety pierwszy, miał dostać 10 rubli dane znowu Adasiowi przez babcię, drugi dostawał bardzo ładny scyzoryk Adasia, dar wuja Karola, trzeci bat, który Adaś sam sobie kupił, czwarty czapkę zimową, bardzo jeszcze porządną, której Adaś już nie nosił. Jeźdźcy i publiczność mogli trzymać zakłady, ale nikt jakoś z tego prawa nie korzystał.

Igrzyska te zostały odłożone na niedzielę po południu. Fornale śmiejąc się na całe gardło, przygotowywali się do nich. Marcin, który miał po obiedzie jechać z państwem w sąsiedztwo, okazywał się wyższy nad takie dzieciństwo. Ramię jego podnosiły się do góry same z siebie, nosek jeszcze bardziej zadartym się wydawał. Jemu samemu się zdawało, że to nie Marcin furman chodzi koło stajni, ale jaki pan Wołodzyjowski czy nieco za chudy Zagłoba. O! Marcin dobrze wiedział, co by powiedział na to Zagłoba! Powiedziałby, że to tylko Niemcom się zdaje, że konie są na to żeby je uczyć jakich psich figli! Ale Marcin wiedział także, że nie należy rzucać pereł przed wieprze. Czuł się czemś niesłychanie wyższym od wszystkich fornałi, był furmanem, a nie fornalem i był pewien, że jest z innej gliny ulepiony, niż to wszystko co go w stajni otaczało. Milczał więc choć nie znał cudziemskiego przysłowia głoszącego, że mowa jest srebrna, ale milczenie jest złote.

Gdy państwo Bodziccy wyjeżdżając w sąsiedztwo mijali stajnię, pan Bodzicki spostrzegł jakieś chorągiewki różnokolorowe oparte o ścianę.

— Ciekawy jestem co to znowu za concept — odezwał się do żony — jakieś chorągiewki? Tak jak gdyby tu był geometra...

— Ech, to Adaś urządza jakieś wyścigi.

— Co znowu za wyścigi? Czemuś mi o tem nic nie powiedziała?

— Poprostu zapomniałam. Myślę że to jakaś nieszkodliwa zabawka. Może będzie wyścig Myni z Bystrą.

Bystra była to druga kucka, kupiona już po wyjeździe Adasia do szkół.

— Może — odparł pan Bodzicki — i skoro Adaś opowiedział się tobie, ma prawo urządzić sobie wyścigi Myni z Bystrą.

— Nie wiem dokładnie jakie to mają być wyścigi. Coś mi mówił o zachęceniu fornałi do dobrego chowu koni... Jakies dzieciństwo i koniec! Fornale będą zapewne stanowili przypatrującą się publiczność.

Przed panem Ożyckim wszystko było w tajemnicy, Wiedzano, że w niedzielę spał po obiedzie i z tych chwil

spoczynku jego skorzystano by wyścigi odbyły się bez jego wiadomości. Rowki, sztachety porobiono w nocy, podejrzano bowiem, że pan Ożycki wszystkiemu by się oparł otrzymanby rozkaz pana Bodzickiego zabraniający zabawę.

Tajemnica w istocie zachowaną została. Wkrótce po wyjeździe państwa Bodzickich, kilkunastu fornałi ubranych po cudacku na koniach postrojonych dziwacznie, wyjechało na ugor bliski wsi. Za nimi ciągnęły kobiety i dzieci mające być widzami. Adaś na Myni jechał w końcu. Na plac wyścigowy przybyło też nie mało ludzi ze wsi, których ciekawość tu przywołała.

Adaś z miną człowieka czującego niezmierną ważność chwili, począł, zsiadłszy z Myni, rozstawiać fornałi. Każdy stał przy chorągiewce wetkniętej w ziemię tak, aby koń jego miał chorągiewkę obok uszu. Chorągiewki były ustawione równo, podług przeciągniętego po ziemi sznura, fornale rozstawieni w odległości czterech łokci. Na drugim końcu ugoru postaviono wielką chorągiew stanowiącą metę. Fornale śmieli się i żartowali, wszakże nadzieja zdobycia dziesięciu rubli utrzymywała ducha i karność. Na znak umówiony wszyscy poczęli zacinąć swoje bieguny i niezgrabnie jak kto mógł, zachęcać fornałskie szkapy do przesadzenia niskich baryer i małych rowków. Zaraz przy pierwszych przeszkodach kilka koni okazało się tak nieposłusznymi, że ani razy ani zachęty nie mogły ich zmusić do przebycia zapór, które im się niebezpiecznymi wydały. Niektórzy fornale, zsiadłszy z koni i wzięwszy je za uźdy przeprowadzić je zdołali przez rowki. Inni przez ten czas byli już daleko. Jechali nie zważając na to, że kilku z nich leżało zrzuconych, przez koni na ziemi, także upadło ciężko trzy konie. Śmiech przeciągły wstrząsał całą publicznością. Fornale nie umiejący jeździć konno wedle zasad sztuki, byli tak pocieszni w swoich cudackich ubraniach, że jeden tylko Adaś nie odczuł do jakiego stopnia wyprawa cała była śmieszna. Był tylko niebardzo kontent z niezgrabności jeźdźców. Sarkał i gniewał się. Przy ostatniej, trochę wyższej baryerze Bartek, jeden z fornałi, padł ciężko z koniem na ziemię. Nie wiele wrócono na to uwagi, gdyż właśnie drugi fornał, Wojtek, dojeżdżał do mety. Za nim Franek podążył ostatnie czyniąc wysiłki, w końcu Jasiek na Bystrej, która udowodniła jasno, jak źle swemu nazwisku odpowiadała.

Rozległy się okrzyki publiczności!

— Wojtek, Wojtek! Złapał dziesięć rubli! Wygrał dziesięć rubli!

Wojtek obcierał czoło z potu z miną zwycięzcy, podczas gdy jego biedna szkapa, spracowana przez cały tydzień, robiła bokami i zdawała się oczekiwać swej ostatniej godziny.

Tymczasem śmiechy ucichły trochę i wtedy dopiero usłyszano narzekania i lament Bartka, stojącego nad biednym jęczącym koniem. Zwierzę złamało nogę przy przesadzaniu rowu i teraz podnieść się nie mogło. Publiczność i fornale otoczyli konia, zapominając o zwycięzcach i o poprzedniej wesołości, Adaś sam nie wiedział co miał czynić. Był zawstydzony, zmartwiony i nie mógł jeszcze uwierzyć w to, że koń naprawdę nogę złamał, tem samem był na śmierć skazany. Chłopiec, przed chwilą tak pewien siebie, nadrabiał miną. Pooddawał nagrody przeznaczone dla zwycięzców, potem odezwał się do rozpaczonego Bartka:

— To ci się tylko zdaje, że on ma złamaną nogę. Jest zmęczony i wstać nie chce, ale jak sobie trochę wypocznie...

— Nieszczęśliwa moja godzina! — lamentował Bartek. — Bodajem nigdy nie poznał co to są wyścigi! To jakiś głupi tę zabawę wynieśli!

Adaś nie chciał dłużej słuchać komplementów Bartka. Siadł na Mynię, która już bardzo tęskniła do swego żłobu i pogalopował ku domowi.

Na ganku przyjechała go Marynia z zapytaniem:

— No, jakże się wyścigi udały?

— Wszystko byłoby dobrze — odparł Adaś — ale nasi fornale są tacy niezgrabni i tacy niemądry, że to tylko szkoda nad nimi pracy. Cywilizacja między nimi nie doszła jeszcze do tego, żeby zrozumieć mogli zadanie i cel wyścigów.

Marynia śmiała się z całego serca, pokazując białe ząbki.

— Ach, jakis ty śmieszny Adasiu! — wołała — jak się tobie przewróciło w głowie w tej Warszawie!

Adaś ruszył ramionami.

— Co mię może obchodzić zdanie takiej parafianki, która widzi tylko koniec swego nosa! — rzekł pogardliwie, dążąc co prędzej do swego pokoju, gdzie w samotności podumać potrzebował.

— Co powie ojciec?

Zapytanie to ciągle mu się kręciło po głowie i drżał wewnętrznie na myśl, że będzie musiał przed ojcem się tłumaczyć ze swego postępku. Boże, co to będzie! Jak tu ojcu spojrzeć w oczy. Zaprzeczał Bartkowi, gdy ten twierdził, że koń miał nogę złamaną, lecz teraz sam w to wierzył. Po co on to wszystko zrobił nie mówiąc nic ojcu i okrywając się tajemnicą przed panem Ożycim?

Chodził po pokoju niespokojnie, rozmyślając nad tem co uczynił, i nie chcąc spotkać nikogo z domowników, prosił by mu podano kolację w jego pokoju. Za pretekst do tego podał ból głowy; w łóżku uleżać nie mógł, chodził więc ciągle aż wśród nocy usłyszał turkot powozu, którym rodzice powrócili do domu. Wtedy Adaś wślizgnął się cicho pod kołdrę, przytulił się do poduszki, zamknął oczy jak gdyby unikał widoku jakiegos niebezpieczeństwa i słuchał bicia własnego serca, które mu się młotem w piersi odzywało.

— Jakiż ja jestem nieszczęśliwy! — mówił sam do siebie.

Z tem przekonaniem, iż był bardzo nieszczęśliwym człowiekiem, usnął wreszcie nad ramię i spał dopóki Tomasz nie przyszedł mu oznajmić, że była już późna godzina i pan Bodzicki obudzić go kazał.

Z nim razem obudził się jego niepokój i żal. Ręce mu drżały gdy zapinał guziki swego ubrania, byłby chętnie cały dzień nic nie jadł, byle uniknąć spotkania z ojcem, ale przecie bez końca udawać chorego nie mógł. Trzeba było pokazać się przy śniadaniu. Gdy wchodził do jadalnego pokoju poznał zaraz z wyrazu twarzy obecnych, że już wszyscy wiedzieli o wypadku z koniem, i że wszyscy byli oburzeni jego postępowaniem. Ojciec rzucił mu spojrzenie, w którym było co najmniej tyle smutku ile gniewu. Marynia była wprost rozżalona. Widocznie cierpiała nad samem wydarzeniem, nad samowolą Adasia, a także nad jego położeniem obecnem; nad zawieszonym nad jego głową gniewem rodzicielskim. Miała zapłakane oczy i tak zaciśnięte przez żal gardło, że nic jeść nie mogła.

— Jaka ta Marynia dobra. — przemknęło Adasiowi przez skołataną głowę.

Po śniadaniu, które Adaś jadł półgębkiem, Pan Bodzicki zabrał go do swego gabinetu. Adaś stał tam długą chwilę czekając wyroku, podczas gdy ojciec mierzył pokój krokami w zamyśleniu. Wreszcie zatrzymał się przed Adasiem i patrzył na niego w milczeniu wzrokiem, którego potem Adaś nigdy zapomnieć nie mógł. Chłopiec rzucił się do ręki ojcowskiej.

— Przepraszam! — błagał — już nigdy... przepraszam.

— Nie pierwszy to raz postępujesz samowolnie — rzekł ojciec — nie pierwszy raz czynisz nam zmartwienie. Przyśpiesz mi stratę w mojem gospodarstwie, ale nie wspominaj bym o tem, gdyby mi twój ostatni postępek nie przynosił obawy o dalsze twoje życie. Co z ciebie będzie za człowiek? Jaką przyszłość dla ciebie obiecywać sobie można?

— Już będę dobry — jęczał Adaś — już będę posłuszny.

— Nie naznaczam ci żadnej kary — mówił dalej ojciec — sądzę, że dostatecznie ukarany jesteś, że szczerze żałujesz żeś samowolnie i niedorzecznie postąpił. Podam ci więc sposob utrwalenia twoich dobrych zamiarów i obiecania poprawy. Temu, w którego ręku jest moc zesłania do twego serca promienia łaski swej i miłosierdzia. Pójdiesz jutro do spowiedzi, zmaż grzechy swoje z pokorą i skrucą i przyrzekniesz poprawę. Mama chce ci dopomóc do przygotowania się do spowiedzi. Pójdiesz do niej i pod jej kierunkiem roztrząśniesz sumienie.

Adaś z wdzięcznością ucałował ręce ojca, potem ze skupieniem czytał pod kierunkiem matki i słuchał jej uwag. Na zajutrz odbył spowiedź ze skrucą i przyrzekł poprawę, ale gdy się znalazł w Warszawie, wrodzona lekkość sprawiła, że chłopiec odkładał znowu do ostatniej godziny nauczanie się lekcji. Mundzio był z niego niezadowolony. Pracował na nim jak mógł, czynił mu uwagi, odnosił się do pana Janockiego i otrzymywał tylko to, że Adaś uczył się powierzchownie, byle jako tako wydał lekcje Mundziowi i zamydlił mu oczy. Taka nauka po lekach prędko idzie w zapomnienie, z poprzedniego roku zostało też wiele rzeczy, których się Adaś nie douczył i teraz wyłaźło mu to bokiem. Nie mógł w wypracowaniach i zadaniach stosować prawideł, których nie umiał, całość nauki szła źle, stopnie były częścią złe, częścią zaledwie mierne. Jaka na biedę, Florek, który był jeszcze zdolniejszy od Adasia,



Typ mężczyzny z wyspy Tahiti.

ale też nie tego się uczył, dostał w prezencie fortunę, rodzina małego bilardziku, do którego Adaś zapalał nagle taką namiętnością, że o niczem innem nie myślał. Wstawali w noc z Florciem, żeby grać w tę fortunę; nad nauką zaś Adaś tak ziewał i tak był zaspany, że pan Janocki nie mógł pojąć, co się nagle Adasiowi stało. Przypisywał to jakiemuś chorobliwemu usposobieniu i napisał do państwa Bodzickich, że Adaś wydaje mu się nie zdrów. Pan Bodzicki przybył co najspieszniej do Warszawy, zaprowadził syna do lekarza, który żadne choroby nie odkrył, ale kazał wcześniej się kłaść, dobrze się odżywiać. Pakowano tedy Adasia wcześniej do łóżka, z którego potem wyciągał go Florek dla gry w fortunę. Adaś przegrał wszystkie pieniądze jakie przywiózł z wakacji i grał teraz na kwity, które miał potem Florcowi wypłacić. Do marzenia Adasia o koniach wyścigowych przybyło marzenie o prawdziwym bilardzie. Miał tedy, gdy dorośnie, być słynnym sportsmannem, a jednocześnie niezwykłym bilardzistą. Odkrył, że z podwórza jednej z pobliskich kamienic, można było obserwować przez okno bilard i grających. Ile razy mógł

APOSTOLSTWO DZIECKA.

nieckał na to podwórze i patrzył zachwycony czyniąc tysiące planów na tle swej przyszłości. Był bogaty, jak sądził, i miał przed sobą życie samej rozkoszy i przyjemności.

Przy takich marzeniach został, naturalnie na drugi rok w tej samej klasie.

Był to dla niego cios. Taki dziwny był ten Adaś, że mu się zawsze zdawało, iż „jakoś to będzie”, i że bez pracy uda mu się dostać promocję, stał na takiej dobrej stancyi, miał takiego dobrego korepetytora, jakże się to stało, że promocyi nie dostał?

— Ani najlepsza stancya, ani najpilniejszy korepetytor nie pomoże, gdy uczeń nic robić nie chce — rzekł mu Mundzio z wielkiem żalem, gdyż od czasu swej ciężkiej choroby, lubił on bardzo Adasia.

Wakacje Adasia były bardzo smutne. Za karę odebrano mu prawo jeżdżenia na Myni, powożenia Mynią i Bystrą. Nie śmiał prosić o żadną rozrywkę, o żadną przejażdżkę. Nawet pływanie łódką po stawie zostało mu wzbronione. Mundzio, jako korepetytor, wzięty został na wakacje, pan Bodzicki bardzo często był obecny lekcyom i nie było przelewku gdy Adaś dobrze ich nie przygotował. Przechodzono jeszcze kurs drugiej klasy, pracowano nad kursem klasy trzeciej. Adaś, pod surowym rygiem pana Bodzickiego, przy wytrwałej pracy Mundzia, skorzystał więcej przez sześć tygodni, niż przez cały rok poprzedni. Gdy wrócił do Warszawy nie zastał już Florka na stancyi u państwa Janockich. Podobno rodzice Florka przenieśli syna gdzie indziej, utrzymując, że chcieli go odsunąć od wpływu rozpróżniczonych kolegów.

Podczas roku szkolnego Adaś dopuścił się rozmaitych nieposłuszeństw, kłamstw, uchybień, ale dostał promocję i już jako uczeń klasy czwartej, powrócił do domu.

To powrodoenie przewróciło mu znów w głowie.

— Mam w czwartej klasie dużo kolegów starszych od siebie — mówił do Maryni — wcale nie jestem spóźniony w naukach i skończę szkoły młodo.

— Jeżeli w każdej klasie będziesz siedział dwa lata, jak w trzeciej...

— Ah, tom siedział tylko przez złość jednego profesora.

— Dla czegoż on był zły na ciebie?

— Bo ja wiem. Miał do mnie osobistą niechęć. Uprzedził się i wszystko mu było źle.

— Mnie Mundzio Zorewicz zupełnie co innego mówił.

— Mundzio jest bardzo porządny chłopiec, ale to też belfer! U niego taki człowiek, co nie siedzi z nosem zwieszonym nad książką, to nic nie wart. Jego nic nie zajmuje prócz nauki.

— A ciebie wszystko oprócz nauki.

(d. c. n.)

Jedno z pism zagranicznych opowiada obecnie prawdziwe wydarzenie, które miało miejsce na wyspach Polinezyjskich.

Na połowie drogi morskiej z Valparaizo do Taiti, ukazują się na widnokręgu dwa ciemne, tajemnicze punkta. Są to najwyższe szczyty gór, przerzynających niewielki archipelag, znany pod nazwą wysp Gambier albo Mangarewa. W r. 1834 przybyli tam dwaj misjonarze francuscy i nawróciwszy niebawem wszystkich mieszkańców, założyli wzorową chrześcijańską gminę, która otrzymała miano Nowego Australijskiego Paragaju.

Wówczas właśnie, gdy wszystko na szczęśliwym tym archipelagu w kwitnącym znajdowało się stanie, misjonarze wiedli coraz dalej rozpoczęte dzieło.

Pomiędzy młodymi chrześcijaninami był ubogi dziesięcioletni chłopiec imieniem Athanacio, który ukarany niesłusznie przez swego pana, postanowił opuścić potajemnie archipelag i uciec do Tahiti. Wskoczył niepostrzeżenie do łodzi zabrawszy ze sobą tylko sześć kokosowych orzechów, kilka bananów, trochę ubrania maszt i parę żagli, popłynął.

Z początku wszystko szło dobrze. Księżyc przyświecał jasno i wesoło, łódź zaś popychana pomyślnym wiatrem posuwała się coraz szybciej po spokojnej powierzchni morza. Athanacio triumfował! Jakież jednak było jego przerażenie, gdy nazajutrz rano zerwała się okropna burza, gwałtowne zaś fale miotające wiatr jego łodzią, uniosły z sobą żagiel, maszt i wszystkie zapasy żywności.

— O Maryo! o Maryo! — zawołał rozpaczliwie — ratuj mnie, jestem zgubiony!

Rzeczywiście litościwa Marya kazała uciszyć się wichrom i burzy, łódź zaś, chociaż pozbawiona żagla i mastsztu, płynęła dalej spokojnie,

kierowana już nie ręką dziecka ale potężną dlonią Niebieskiej Królowej.

W taki sposób Athanacio przez ośm dni kołysał się na falach, płacząc, modląc się, wiosłując lub śpiąc na dnie łodzi. Parę razy ta ostatnia omal się nie rozbiła o podwodne skały w pobliżu wyspy Marutea innym razem dwaj ludożercy z Reao ścigali go dopóty, dopóki im nie oddał części ubrania lecz wreszcie po przebyciu licznych niebezpieczeństw, mały żeglarz, wycieńczony znużeniem i głodem, wyładował na wyspie Pukarna.

Stanawszy na lądzie, Athanacio wdrapał się natychmiast na wierzchołek dużego drzewa. Niebawem nadeszli krajowcy i zaczęli się przypatrywać pirodze. Sama łódź przypłynęła do nas, co za cud!

— Chyba ją bogowie tutaj przysłali — mówili, a spostrzegłszy błyszczące gwoździe, porąbali natychmiast łódź, ażeby je wydobyć, bo gwoździe dla dzikiego to skarb niepospolity.



Typ kobiety z wyspy Tahiti.

Ze szczytu napowietrznego swego schronienia nowy Robinson przyglądał się wszystkiemu ze zdumieniem i trwogą. Ci ludzie o ciemnej cerze, dzikiem spojrzeniu i długich włosach, związanych na wierzchołku głowy, oraz zdobnych kitą z piór mimowolną przejmowali go zgrozą. Drżał więc biedak, powstrzymując niemal oddech w piersiach, ażeby nie zdradzić swojej obecności.

Atoli głód wypędził go niebawem z bezpiecznego schronienia. Z początku złożył z drzewa tylko w nocy, tak, że przez dni parę nikt nie zauważył jego obecności, ale na trzeci dzień o świcie, gdy się przechadzał po wybrzeżu, spostrzegło go dwoje dzieci i w mgnieniu oka Athanacio ujrzał się otoczony licznym gronem mężczyzn, którzy wywijali włóczniami i maczugami wyjąc przeraźliwie, jak żarłoczne wilki wobec słabego jagnięcia. Athanacio zrozumiał, że ostatnia już dla niego wybiła godzina i zimny pot wystąpił mu na czoło. Ukłakł więc nagle i ze złożonymi pobożnie rękoma i wzniesionymi ku niebu oczyma odmówił żalosnym głosem Ojcze nasz i Zdrowaś Marya.

Zdziwieni krajowcy cofnęli się o kilka kroków.

— Co on robi? — zapytywali jedni drugich.

Widząc, że twarz biednego chłopca odzyskała dawny spokój, niektórzy sądzili, iż jest on jednym z bożków, który chwilowo zstąpił na ziemię. Wahali się więc, co mają uczynić, gdy najdzikszy i najokrutniejszy z nich, imieniem Toga, wydał wojenny okrzyk i z bronią w ręku zbliżył się do Athanacio. W tejże samej jednak chwili w obronie strwożonego dziecka wystąpił inny krajowiec i wzięwszy je za rękę, rzekł:

— Nie bój się, idź tylko za mną i naśladuj wszystkie moje ruchy, a ja cię ocalę.

Kilku krajowców wyciągnęło groźnie włócznie, inni zaś zaczęli miotać kamieniami i parę z nich ugodziło Athanacia w głowę i plecy. Wówczas szlachetny obrońca przemocą utorował sobie drogę i zaniósł zranione dziecko do swego namiotu, gdzie już ich nikt nie ścigał. Nazajutrz obaj opuścili wioskę i zbudowali sobie szałas na przeciwnym krańcu wyspy.

— Jak się nazywasz? — zapytał Athanacio nieustraszonego opiekuna. — Biorę cię za swojego ojca, ty zaś przyjmij mnie za syna.

— Dobrze — odrzekł krajowiec — Nazywam się Moeawa i jestem młodszym bratem starszego Toga. Lecz bądź spokojny, nie ci się złego nie stanie, bo mam silną pięść i bystre oko.

Cały miesiąc upływał spokojnie, dzicy bowiem wyrzekli się zamiaru zamordowania swego gościa.

— Chodź do nas — mówili do małego przybysza — nie wyrządzimy ci żadnej krzywdy.

Wreszcie i Moeawa, który znał dobrze miejscowe stosunki, oświadczył swemu wychowawcy, że już niczego nie potrzebuje się obawiać.

Odetchnąwszy wolniej chłopak zaczął przypominać sobie, popełnione winy i przebyte niebezpieczeństwa, pragnąc zaś złożyć Bogu dowód wdzięczności i skruchy, wyznaczył sobie dobrowolnie post całomiesięczny, tudzież postanowił nawrócić krajowców, a przedewszystkiem swego dobroczyńcę.

— Moeawo — rzekł pewnego dnia, gdy cała ludność wyspy zabierała się do pożarcia trzech mężczyzn i jednej kobiety — Moeawo pozostań tutaj. Mój Bóg zabronił jeść ciała ludzkie i ukarze surowo tych, którzy biorą udział w tak okropnych ucztach.

— A gdzie twój Bóg?

— Tam w górze — odparło dziecię podnosząc dłoń ku niebu. — Widzi On jednak wszystko i wszystko zdziałać może, bo jest wszechmocnym i stworzył świat cały.

Oświeciwszy trochę w wierze przybranego swego ojca, mały misyonarz zaczął nawracać innych krajowców, sądząc zaś, że już dostatecznie ich przekonał o wszechmocności swego Boga, zaprzagnął jednak dowiedzieć nieudolności ich bałwanów i w tym celu zaproponował zburzenie *marajów*, czyli ołtarzy, wniesionych na cześć szatana. Na jednym z tych ołtarzy

leżał poświęcony żółw, którego nikt nie śmiał dotknąć z obawy, aby natychmiast nie umrzeć.

— Dobrze więc — rzekł Athanacio — na dowód, że mój Bóg potężniejszy jest od waszych, nietylko dotknę tego żółwia, ale nawet zedrę z niego skorupę, wyjmę mięso, ugotuję je i zjem, a zobaczycie, że nie stanie mi się nic złego.

Napróżno chciano go odwieść od tego zamiaru, chłopak zjadł żółwia, a ponieważ nietylko nie umarł, ale nawet nie zachorował, wielu więc uwierzyło jego słowom, inni zaś kręcąc głową, przepowiadali rozmaite nieszczęścia, które nigdy spełnić się nie miały.

Niejednokrotnie Athanacio opisywał dziłkim pięknem i bogactwem rodzinnego archipelagu. lub opowiadał o dobroci misyonarzy, którzy go nauczyli znać i kochać Boga. Słowa jego w prawdziwy zachwyt wprawiały przybranego ojca Moeawę, który postanowił za jakąkolwiek cenę dotrzeć do zaczarowanej tej krainy.

— Płynęmy — mawiał codziennie do swego wychowanka.

— Niestety — odpowiadał z westchnieniem Athanacio — Mangarewa leży zbyt daleko, łódź zaś twoja jest za mała do takiej żeglugi.

Upłynęło trzy lata. Pewnego dnia Moeawa przybiegł rozpromieniony do Athanacia.

— Nieprawdaż? — zapytał — że wyspa twoja jest wysoka?

— Rzeczywiście.

— Czyżes mi nie mówił, że się kończy dwoma ostremi szczytami?

— Rzeczywiście.

— Patrz więc, oto twoja wyspa płynie ku nam. Czy widzisz tę ziemię, która zdaje się iść po wodzie?

— To okręt, Moeawo, czyli łódź sto razy większa od twojej. O głyby tutaj zarzuciła kotwicę i zawiozła nas do Mangarewy! Nieprawdaż Moeawo, że popłynąłbyś ze mną?

— Bezwątpienia. Zaczekaj tu na mnie, pójdę po zapasy żywności.

To mówiąc Moeawa wrócił spiesźnie do domu.

Niebawem statek zbliżył się nieco. Był to niewielki parowiec, noszący nazwę „Aorai” Zarzucili kotwicę, statek wysłał cztery łodzie dla zbadania wyspy, krajowcy zaś na ten widok wydali okrzyk wojenny.

— Bądźcie spokojni — rzekł do nich Athanacio — to są dobrzy ludzie, którzy wam nie robią nic złego.

Po chwili misyonarze wylądowali, Athanacio przemówił wtedy do sternika po francuzku.

— Jakto — zawołał sternik imieniem Pedro — to ty znasz ten język?

— Tak.

— Kimże jesteś?

— Biednym chłopcem z Mangarewy, wyrzuconym przez morze na tutejsze skały.

— Jak się nazywasz?

— Athanacio.

— Kto cię nauczył mówić po francuzku.

— Pan de la Tour na jednej z głównych wysp archipelagu.

— Jak się nazywa król Mangarewy.

— Dawniej panował tam Grzegorz Maputeoa, obecnie zapewne rządzi syn jego Józef.

— Bardzo dobrze. Czy chciałbyś powrócić do ojczyzny.

— To jedyne moje pragnienie.

W takim razie siadaj ze mną.

Oprócz Athanacia, zabrał Pedro ze sobą czterech krajowców i przybył wraz z nimi na pokład „Aorai” na którym oczekiwano tylko jego powrotu, ażeby wyruszyć w dalszą podróż. — W Marutei pozostawiono czterech Pukarujczyków, niby w celu ich ucywilizowania, do Mangarewy zaś odwieziono Athanacia, którego własni rodzice poczytywali w pierwszej chwili za przybysza z tamtego świata,

(d. c. n.).

Lew świętego Marka

(z ANGIELSKIEGO E. A. Henty)

przekład K. P.

(Ciąg dalszy).

Tłumy otaczały dom gubernatora, wołając: „Precz z Genuą!” a gubernator nie mając ani cesarskich ani genueńskich wojsk dla poparcia dekretu, utrzymywał, że nie uznaje rewolucyj pałacowej, ani Andronikusa cesarzem. Donato Trono, kupiec z Wenecyi i inni Wenecyanie przemawiali do ludu i dowodzili im, że sami nie oprą się połączonym siłom Genui i Konstantynopola; że jedyną ich ucieczką jest poddać się Wenecyi. Ludność, która miała więcej zaufania do Wenecyi niż do Genui, zgodziła się odrazu. Zatknięto chorągiew św. Marka i ogłoszono akt przyłączenia wyspy do Rzeczypospolitej.

Galery genueńskie natychmiast opuściły port i zawiozły wiadomość do Konstantynopola, rozgniewany cesarz, kazał wszystkich Wenecyan znajdujących się przy dworze wtrącić do więzienia. Gdy się o tem dowiedziano w Tenedos kapitan „Bonita” rzekł do Franciszka:

— Teraz nie możemy płynąć na Czarne Morze, bo nas schwytają w Konstantynopolu, a nawet gdybyśmy w nocy przepłynęli Bosfor, to możemy się spotkać na Poncie z Genueńczykami, których się tam mnóstwo snuje. Mnie się zdaje, że należy nam zaraz wrócić do Wenecyi, z ładunkiem jaki posiadamy, i powinniśmy się spieszyć, bo lada dzień wyśle Genua flotę dla odzyskania Tenedos, a niebezpiecznie wpaść w jej ręce.

Franciszek zupełnie podzielał zdanie kapitana i zwrócił statek na południe. Po drodze „Bonito” zatrzymał się przy różnych wyspach, gdzie już doszła wiadomość o nieuniknionej wojnie między Genuą a Wenecją; wyspiarze chcieli kupowali towary, obawiając się, że ich przez cały czas wojny nie dostaną, to też kapitan pozbył się całego ładunku, a w zamian napełnił statek produktami z wysp.

W trzy miesiące po opuszczeniu Wenecyi „Bonito” wpłynął do jej portu. Gdy tylko zarzucono kotwicę, kapitan i Franciszek wsiadli do łodzi i kazali się zawieźć do biura signora Polani, aby mu zdać sprawę z podróży i obrotów handlowych. Kupiec przyjął ich serdecznie a Franciszka uściśkał jak syna.

— Idź do moich córek, Franciszku, bo cię niecierpliwie oczekują; przed godziną już nadeszła wiadomość, że „Bonito” wpływa do portu. Pisano mi z Kandyi o napadzie korsarzy i o dzielnej obronie z waszej strony. Całej załozce kazałem podwoić miesięczną płacę.

— Wiem także o twoim nadzwyczajnym pomysle, który uratował „Bonita” i o odwadze którą okazałeś w czasie bitwy, ale o tem później pomówimy. Teraz mam dużo pilnych interesów, więc im prędzej pójdziesz do moich córek tem lepiej.

Franciszek kazał się zaprowadzić do panien Polani, które go powitały ze zwykłą serdecznością.

— Jużśmy były niespokojne o pana — rzekła Marya — gdy nadszedł ojciec i powiedział nam, że „Bonito” wraca. Przez długi czas nie było o was wiadomości; myślałyśmy, żeście wpłynęli na morze Czarne, i że nie możecie wrócić z powodu rewolucyi w Konstantynopolu.

— Byliśmy w Tenedos gdy nadeszły pierwsze wieści nie mieliśmy sposobności przesłać listu do Wenecyi. Z powodu owej rewolucyi kapitan zmienił zamiar, i wrócił do domu, a ja muszę przyznać, że mi ten powrót ucieszył. Poróż była niezmiernie zajmująca, ale już zaczynał tęsknić do Wenecyi.

— Za Wenecją i — powtórzyła Marya grożąc mu palcem.

— I za wami — rzekł Franciszek z uśmiechem. — Myślałem, że nie potrzebuję tego dodawać, bo wy jesteście dla mnie Wenecją.

— Tak, lepiej — zawołała Marya. — Mnie się zdaje, że pan jest teraz uprzejmiejszy nawet, niż dawniej. Nieprawdaż Julio?

— Ja tego nie pochwalam — rzekła Julia poważnie. — Każdy młody Wenecyanin to samo potrafi, a my nie chcemy pochlebstw od pana Franciszka.

— Dajmy więc pokój pochlebstwom, a niech nam Franciszek opowie swoje przygody, a przedewszystkiem bitwę z piratami. Kapitan zaledwie umieścił małą wzmiankę w swoim liście pełnym interesów, pisał także, że pan był ranny, ale teraz już pan zdrow, nie pana nie boli?

— Chyba nie wyglądam na chorego!

— Znamy też wszystkie porty, któreście teraz zwiedzili, bo gdyśmy byli małemi dziećmi, i gdy czasy były spokojne, to nas często ojciec brał ze sobą. A teraz popłyniemy na spacer i tam pan nam wszystko opowie ze szczegółami.

IX.

Zdobycie „Lido”.

Nazajutrz signor Polani wezwał Franciszka do siebie i powiedział mu, że jest zupełnie zadowolony z jego gorliwości i z porządku w jakim utrzymywał księżki rachunkowe.

— Cieszy mnie — dodał w końcu. — że zapomniano już zupełnie o Mocenigu i o tem, żeś odnalazł moje córki; będziesz mógł spokojnie odpocząć. Ruggiero jak wiesz, uniknął i nic o nim nie słyhać, a tę nędzną kobietę, Castaldi, skazano na cztery lata więzienia; na moje wstawienie zmniejszono jej karę do sześciu miesięcy, pod warunkiem że się nie pokaże na terytorium Rzeczypospolitej.

— Bardzobym pragnął parę tygodni spędzić w Wenecyi, ale jeżeli w tym czasie będzie pan wysyłał jaki okręt, to proszę i mnie na nim wysłać. Teraz, kiedy ukończyłem studia nie będę miał żadnego zajęcia w mieście i czas mi się będzie dłużył. Matteo mówił mi, że mu pan przyrzekł kilka podróży na swoich okrętach. Jeżeli to możliwe, niech nam pan pozwoli razem popłynąć.

— I owszem Franciszku, tylko ja go chciałem wysłać za jakie dziesięć dni, ale jeżeli ty nie masz zamiaru zostać dłużej w Wenecyi, to się chętnie zgadzam. Będzie to z korzyścią dla Mattea, który jest dobry chłopiec ale pusta głowa. Teraz jednak popłyniesz jako dozorca towarów, bo kapitan, dzielny żołnierz i marynarz, nie zna się nie a nie na handlu, ty zaś okazałeś wiele zdolności w tym kierunku.

Dwa tygodnie szybko zeszły, i choć Franciszkowi było bardzo miło w domu kupca, to jednak z radością dowiedział się, że nazajutrz ma odpłynąć. Signor Polani radził mu, ażeby się zaraz udał na statek i sam dozorował ładowania towarów, aby następnie wiedział w jakim miejscu są złożone rozmaite ich rodzaje.

— Dla czego ojciec pozwala Franciszkowi odjeżdżać tak prędko? — zapytała Marya.

— On sam tego chce, jabym wolał go dłużej zatrzymać między nami, ale widać nie potrafiłyście mu uprzyjemnić pobytu w Wenecyi i dla tego nas opuszcza.

— Pan żartuje! — zawołał Franciszek — obie panienki były nadzwyczaj dobre dla mnie; ale natura ciągnie wilka do lasu, jestem stworzony na marynarza i tęskno mi do wielkich obszarów morskich. Zresztą mam się kierować na kupca, i widzę, że mi zostaje jeszcze wiele do nauczania.

— Kiedyś zaczął mówić o kupiectwie, to muszę cię uprzedzić, że nie pojedziesz w tę samą stronę co pierwsi. Na wiosnę będziemy mieli z pewnością wojnę, muszę więc zaopatrzyć moje magazyny w zboże i po to zboże pojedziesz do Sycylii. Strzeż się statków genueńskich, które teraz więcej niż kiedykolwiek będą nam utrudniały kupno pszenicy. Jeżeliby wybrzeże Sycylijskie było mocno obsadzone przez Genueńczyków, to płyn do Afryki i zamtąd przywoź jak najwięcej zboża.

Franciszkowi było zupełnie obojętne dokąd pojedzie, ale Matteo się skrzywił, gdy się dowiedział, że ich signor Polani posyła tylko po zboże do Sycylii.

— Co to za podróż — mówił zniechęcony do Franciszka. — Ja myślałem, że będziemy długo pływali, jak zeszłym razem.

— Pociesz się Matteo, mogą ci się przytrafić przygody, o jakich nie śnisz nawet. Jeżeli wiatr będzie pomyślny, to prędko wrócimy, i znów pojedziemy w inną stronę.

Do Sycylii dopłynęli bez wypadku; Franciszek, który podczas swej pierwszej podróży pilnie przyglądał się manewrom okrętowym, teraz robił wyliczenia co do kierunku i szybkości jazdy, i z radością przekonał się, że jego rachunki zupełnie się zgadzają z rachunkami kapitana. On i Matteo większą część dnia spędzali na pokładzie, i przyglądali się wybrzeżom Włoch wschodnich, około których przepływał „Lido”. Gdy statek wpływał na Morze Śródziemne, kapitan pilnie dawał baczenie, czy nie dostrzeże gdzie galery genueńskie, ale nigdzie nie było widać podejrzanego okrętu.

Pewnego ranka, chłopcy wychodząc na pokład, ujrzeli zdumieni wielką górę, pokrytą śniegiem, która wznosiła się nad ziemią. Była to Etna. Podziw ich wzrósł jeszcze, gdy z wierchołka tej góry wydobył się dym i równym słupem popłynął w niebo.

— Warto odbyć długą podróż, żeby zobaczyć taką górę — zawołał Franciszek. — Co za wysokość i uważ tylko Matteo, jaki ma kształt regularny.

— A jednak — odparł Matteo — słyszałem od podróżników, którzy byli we Francyi, że napotkali na drodze góry, przy których Etna była tylko małą wyniosłością. Szczyty ich są pokryte wiecznym śniegiem i żaden człowiek na nich nie był. Na Etnę znów nie jest tak trudno się dostać.

— Tak się zdaje z daleka, ale jestem pewien, że napotkalibyśmy wiele trudności, gdybyśmy istotnie chcieli dojść do krateru.

— Miałbym wielką ochotę spróbować. Panie kapitanie, czy nasz okręt nie zatrzyma się w jakim porcie u podnóża Etny?

— Nie — odparł kapitan — my popłyniemy dalej, na południowe wybrzeże Sycylii, gdzie ziemia jest bardziej urodzajna, i gdzie łatwiej dostaniemy zboża. Ale gdybyśmy się nawet zatrzymali tu blisko, to i tak nie mógłby pan udać się w głąb wyspy, gdzie na każdym kroku czyhają rozbójnicy i chwytają każdego zamożniejszego człowieka, aby następnie żądać okupu od jego rodziny. Sycylja, jak wam wiadomo, z powodu swej urodzajności była zdobyczą, którą sobie po kolei wydzielali Rzymianie, Kartagińczycy, Piza, Genua, Neapol, Maurowie także częste napaści robią na jej wybrzeża. Ludność, nie wiedząc pod czyjem jest właściwie panowaniem, zdziaczała i w każdym obcym widzi szpiega i wroga. Ten tylko mógłby się dostać na szczyt Etny, ktoby miał ze sobą potężny oddział wojska.

— Muszę się więc wyrzec moich zamiarów, ponieważ nie rozporządzam nawet własną osobą — rzekł, śmiejąc się Matteo, i na tem urwała się rozmowa.

Nazajutrz ujrzeli port Girgenti, gdzie signor Polani polecił im kupić zboże. Kapitan zatrzymał się jednak w pewnem oddaleniu i czekał czy nie nadpłynie jaka łódź rybacka.

Chciał się dowiedzieć, czy są Genueńczycy w porcie czy nie. Jakoż około południa, zbliżył się do okrętu mały statek, i dowodzący nim stary Sycylianin upewnił go, że ani galer genueńskich, ani w ogóle okrętów obcych niema w okolicy. Kapitan uspokojony wpłynął do zatoki i natychmiast Franciszek udał się do domów handlowych, które mu wskazał signor Polani i zawarł z nimi bardzo korzystną umowę. Zboże w tym roku urodziło, ceny były niskie, więc nie zwlekając kazał ładować tyle, ile mógł unieść „Lido”. W cztery dni statek był napełniony i gotów do drogi.

Franciszek pojechał właśnie do miasta, aby pokonać ostatnie rachunki, gdy wpadł do biura zaniepokojony Matteo.

— Cztery galery genueńskie wpływają do zatoki.

Franciszek wybiegł na brzeg i ujrzał, że przyjaciel jego się nie myli.

— Za późno, już nie uciekniemy — rzekł z westchnieniem, „Lido” z pełnym ładunkiem nie ujdzie pogoni.

— I cóż poczniemy?

Franciszek przez chwilę się zastanowił.

— Wiesz co, ty zostań tutaj, a ja popłynę do statku i każę załozde wysiąść na brzeg. Jeżeli Genueńczycy zabiorą statek, to wszystkich naszych ludzi wezmą do niewoli, trzeba więc tego uniknąć.

— I ty Franciszku wracaj na wyspę — rzekł Matteo — niech kapitan pilnuje statku. Polani wolałby utracić całą swoją flotę, niż ciebie jednego. Nic nie pomożesz, nie masz więc potrzeby narażać swojej wolności.

— Zobaczymy — rzekł Franciszek — w każdym razie, ty tu zostań.

To mówiąc wskoczył do łodzi i szybko popłynął do okrętu. Natychmiast wydał rozkaz aby wszyscy majtkowie wsiedli do czółen i udali się na wyspę.

— Kapitanie — rzekł — nie wiem czy nas Genueńczycy wezmą do niewoli, czy nie; w każdym razie nie należy narażać naszych ludzi. Niech wszyscy opuszczą statek, z wyjątkiem dwóch lub trzech. Mamy papiery w porządku, i możemy im udowodnić, że jesteśmy spokojnymi kupcami, którzy tu przybyli po zboże; jeśli nas jednak ponimo to napadną, to musimy się poddać przeważającej sile.

— Niech pan nawet nie myśli o narażaniu się na niewolę, panie Franciszku. Signor Polani byłby zrozpaczony, zresztą ja jestem odpowiedzialny za pana, i jako kapitan zabraniam panu zostawać.

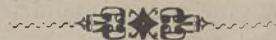
— Nie będziesz pan zmuszony używać siły, bo usłucham pana z dobrej woli.

W pięć minut później wszyscy majtkowie, z wyjątkiem czterech płynęli na brzeg. Matteo zbliżył się do Franciszka.

— Dzięki Bogu, żeś przyjechał, ale co teraz będziemy robili?

— Natychmiast cofniemy się w głąb łądu, bo Genueńczycy mogą nas i tu schwytać, albo naślą nam Sycylijszczyków.

(d. c. n.)



PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Gnu (z drzew.) — Pogadanka ze starszym bratem. — Losy Adasia p. Zofię Kowerską. — Apostolstwo dziecka (z drzew.). — Lew świętego Marka (przekład K. P. z angielskiego G. A. Henty). — Dodatek: Od Redakcyi. — Wypchane czy żywe, wiersz p. Z. M. (z drzew.) — Opowiadanie mamy. — Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Orla skała, powieść miss K. Yonge przekład T. O.

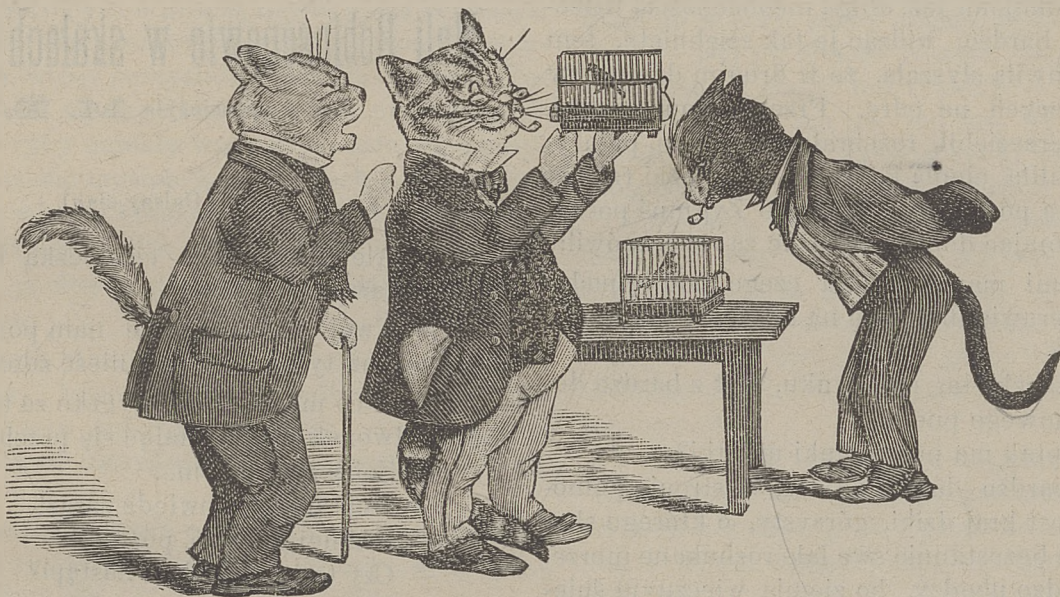
WIECZORY RODZINNE

OD REDAKCYI.

— 1200 —

Przypominamy naszym młodszy czytelnikom (do lat dziesięciu włącznie), że jak zwykle oczekujemy w tym czasie prób ich kaligrafii. Ciekawi bowiem jesteśmy bardzo, czy od roku zeszłego zrobili jakie postępy. Pod ka-

żdem pismem powinno być położone imię i nazwisko pseudonym, jeżeli go kto sobie obrał, oraz dokładny adres piszącego, inaczej bowiem nie będziemy się mogli do niego zgłosić.



WYPCHANE CZY ŻYWE.

Kot wystrojony pałac raz fajeczkę;
Pochwycił klatkę w grube swoje łapy;
Ptak siedząc w klatce, przeląkł się troszeczkę,
Chciał prośbę zanieść do koteczka papy,
Gdy nagle spostrzegł, że drugi kot stoi,
I przez złociste patrzy okulary.
Drży więc ptaszyna; drży i drżąc się boi...

Drży ptaszek młody, drży i ptaszek stary,
Co w drugiej klatce został na stoliku,
Bo oto nad nim drugi kotek strojny,
Schował dwie łapki, skrada się po cichu,
Patrzy na ptaszka...

Ptaszek niespokojny
Kryje swą główkę; nie wie co ma robić...
A kotek patrzy i śmiąc papierosa
Radby ptaszynę dla siebie ułować.

Spojrzał nań prosto, spogląda z ukosa,
Lecz gęste prątki ochraniają ptaszę...
Dwa koty stare również patrzą chciwie,
Wreszcie rzekł jeden: „Ja ptaszka wystraszę.”
I począł miauczeć, głośno i chrapliwie.
Lecz ptaszki oba przytuliwszy uszy,
Siedzą spokojnie, choć im serce bije,
Żaden ze swego miejsca się nie ruszy,
W piórka złociste zanurzywszy szyję.
Więc kot ów gruby co mędrka udawał
Rzecz wyniośle: „To ptaki wypchane”
Drugi zaś na to: „Może drewna kawał”
A trzeci dodał: „Wypchane, drewniane,
Wszystko mi jedno, gdy ich nie dostanę.”
Tak koty radząc przez całą godzinę,
Poszły z kąd przyszły, polykając ślinę.

Z. M.

OPOWIADANIE MAMY.

Puch edredonowy.

Mały Zygmus poszedł z boną do Saskiego ogrodu, przechodząc koło sadzawki, na której ślizgało się mnóstwo chłopczyków i dziewczynek, zatrzymali się tam trochę, a Zygmuśowi tak się ta zabawa podobała, że zapomniał zupełnie o mrozie, bona nie mogła go namówić, aby wracać do domu. Wkrótce jednak poczuł ból w zziębniętych rączkach, czerwone uszka paliły go jak ogień, a nóżek nie czuł już prawie. Teraz zaczął się napierać, aby wracać do domu, ale z ogrodu było iść daleko, rodzice Zygmuś mieszkali na ulicy Nowogrodzkiej. Biedny chłopczyzna cierpiał ból dotkliwy, na ulicy jeszcze jako tako udawał zucha, ale gdy przyszedł do domu, rozplakał się, tak go bolały rączki i nóżki.

Mama zaniepokojona już, długą nieobecnością dziecka, przeraziła się bardzo, widząc je tak zziębnięte, tem więcej, iż przed chwilą słyszała, że w drugim domu leży kilkoro dzieci chorych na odrę. Przestraszona bardzo, czy synek się nie przeziębził, rozebrała go prędko, położyła do łóżeczka, otuliła ciepłą kołderką a na nóżki rzuciła mu miękką, puchową poduszkę. Wkrótce Zygmus poczuł miłe ciepło, a trzymając dobrą mateczkę za rękę, mówił:

— Powiedz mi mamusiu, dla czego pod tą poduszeczką, choć jej prawie nie czuję na nóżkach, tak mi się prędko ciepło robi?

— Bo poduszeczką ta, mój synku, jest z bardzo delikatnego, edredonowego puchu.

— A jaki to ptak ma puszek taki milutki?

— Daleko, bardzo daleko od nas, w stronie północnej, za morzem jest kraj dziki, górzysty, o którego skaliste brzegi rozbija bezustannie swe fale roz hukane morze. Ludzie tam są bardzo ubodzy, bo ziemia wiecznym śniegiem pokryta, nie rodzi zboża, cierpią więc chłód i głód często. W tym to kraju żyje ptak do naszej kaczki podobny, nazywa się nawet kaczka edredonka.

Ptaka tego bogato uposażyła natura, okrywając ciało jego takim delikatnym, miękim i ciepłym puchem. Ptaki te pragnąc uchronić od napadu swe dzieci, ścielą gniazda na niedostępnych skałach i wyściełają je obficie puchem, który wyskubują z własnego ciała, aby dzieciom ciepło było.

— To te kaczuszki są tak dobre, jak moja mamusia — mówił Zygmus, tuląc rękę matki do uśmiechniętej buzi, a mama gładząc jego główkę, mówiła dalej:

— Otóż widzisz, synku, w kraju tak ubogim, puch ten bardzo jest poszukiwany. Młode i zręczne chłopaki wdrapują się na najwyższe szczyty skał, aby zabrać z gniazd puch tam złożony.

— O niedobre chłopcy! — zawołał Zygmus — toż biednym kaczętom zimno będzie.

Ale mama uśmiechnęła się tylko i mówiła dalej:

— Ty się oburzasz, moje dziecko, bo leżysz w ciepłym łóżeczku, masz wszystkie potrzeby zaspokojone, nie bywasz nigdy głodny, a zimna doznajesz czasem tylko i to z własnej winy. Pomyśl jednak o ludziach, którym zbywa na wszystkim, chłopcy ci nieraz z narażeniem

życia drapią się po skałach, bo zabrany puch sprzedają, a za te pieniądze żyje cała rdzina. Puch ten jest drogi, funt dochodzi do 10-ciu rubli, ale ileż oni przenieść muszą trudów, aby zebrać funt cały, często odwiedzić trzeba 6 do 8 gniazd, a każde usłane na innej skale, a skały piętrzą się tak wysoko, a są tak ślizgie, bo śniegiem i lodem okryte, iluż to z nich spadnie, pokaleczy się lub potłucze, a nie jeden i śmierć tam znajdzie. Zresztą, to także do brzy są ludzie, nie rabują doszczętnie biednych ptaków, ale tylko dzielą się z nimi, za co nie można ich winić.

Zygmus patrzył na mamę z takim wyrazem, jakby jej chciał powiedzieć: „Rozumiem cię mateczko”, ale rozmarzony miłym ciepłem mrużył oczki, mama pocałowała go leciuchno i pozwoliła mu zasnąć spokojnie.

A. R.

Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

— Ale te wszystkie ciasteczka będą ciężkie do zanieśienia aż tam na górę.

— Twój worek będzie nam pomocą, włożymy do niego na raz tylko tyle, ile unieść zdołamy.

— A co mi dasz siostrzyczko za to, że ci pomogę? — zapytał Iwonek, uśmiechając się przebiegle.

— Zobaczysz potem...

— Moja droga, powiedz zaraz!

— Później dopiero, później!

— Czy to jeszcze dziś nastąpi?

— Tak...

— Zaraz?

— Nie, dopiero wieczorem...

— Oh... to długo jeszcze czekać... powiedz teraz!...

— Nie, nie powiem ci nic... zobaczysz... zresztą jeżeli będziesz pilnie pracował...

— No to rozpoczynajmy jak najprędzej!...

— A czy worek jest suchy?

— Niezupełnie...

— W takim razie potrzymaj swoją bluzkę, a jak ją napełnię, uważaj, żebyś się nie przewrócił.

— A jak już poniosę cztery razy, czy przyrzekasz mi dać to, co mi obiecujesz?

— Nie, dopiero wieczorem, mój ty uparciuchu!

— No, to kładź już, kładź sucharki! A sama czy też poniesiesz trochę?

— Więcej od ciebie... chodź bliżej! i Melcia ułożyła w bluzie Iwonka spory stos sucharów.

— Czy ci nie będzie za ciężko?

— Nie, ale nie widzę stopni przed sobą...

— O, mój paniczu, coś się boję, że nie mamy zbyt wielkiej ochoty do pracy. A teraz czy będziesz widział drogę? — pytało dziewczę, ujmując bratu, a dokładając sobie jak najwięcej. — Dobrze, więc zwawo w drogę!

I puściwszy Iwonka naprzód, szła za nim wesoła i swobodna.

Po czwartej takiej podróży, chłopiec usiadł w grocie i składając swój ciężar na pokrywie pudła:

— Już mam dosyć siostrzyczko! — zawołał tak, jak dni poprzednich.

— To nie będziesz miał nagrody...

— Tem ci gorzej! Wolę jednak obejść się bez niej niż jeszcze raz wejść pod tę górę, nogi mam jak poprzeręcane...

— W takim razie ja sama resztę przyniosę, ale też z tobą dzielić się nie myślę.

— Nie wierzę temu... znam cię nadto dobrze! Jak tylko jest co do podziału, zawsze mi dasz najlepszą częśćkę!... — dowodził mały.

— Ale teraz zobaczmy...

I Melcia schodziła na dół sama, aż ukończyła robotę.

Gdy już wszystko było w grocie, nawet pusta skrzynka, ułożyła w niej starannie znowu wszystkie suchary i przykryła wieczkiem, wtedy pomyślała dopiero o obiedzie. Połów dzisiaj nie udał się zupełnie, bo dołki przez fale popsute zostały, i ryby uciekły wszystkie, całe więc pożywienie ograniczyć się musiało na ślimakach — bo chociaż możnaby łatwo zdobyć homara, ale Iwonek oświadczył, że już go jeść nie będzie... że chce koniecznie mieć rybę...

— To jdz ją złowić w morzu! — zawołało zniecierpliwione dziewczę.

Poczem oboje niezadowoleni z siebie, nadąsali się po raz pierwszy. Iwon usiadł na balkonie, i przyglądał się mewie, która chodząc po piasku, raz wraz przyskakiwała do czegoś połyskującego, co połykała natychmiast.

— Już wiem, już wiem co to takiego — wykrzyknął nagle chłopiec. — Jakie szczęście! I uchwyciwszy łyżkę zbiegł copędzej na dół.

— Co tobie? To już jak widzę wcale nie jesteś zmęczony? — mówiła Melcia, idąc zaciekawiona na balkon, ale Iwonek już był na dziedzińcu, pochylał się szybko i rozgrzebywał piasek, wreszcie zawołał na siostrę.

— Rzuć mi prędziutko worek pusty.

— Cóż tam masz takiego?

— Spiesz się... spiesz!... to te małe rybki to...

— Czy tylko pewnym jesteś?

— To chodź zobaczyć sama, ale rzuć najpierw worek!...

Melcia rzuciła worek ale tak zręcznie, że spadł wprost na głowę brata i tak się wkoło niej oplątał, że malec jak oślepiiony nie mógł się w żaden sposób sam oswobodzić, dopiero Melcia nadbiegła i pomogła mu w tej trudnej sprawie. Nie mogła się wszakże powstrzymać od śmiechu widząc jego zrozpaczoną minę.

— Daj mi łyżkę — rzekła w końcu — ja będę kopać i podawać tobie do worka.

Za pierwszym poruszeniem piasku, dzieci zobaczyły małeńkie, jak palec długie rybki, o pyszczku tak spiczastym, że skoro Iwonek nie pochwycił je odrazu, one pyszczkiem tym naprzód, jak druciki, przebijały piasek, i już ich odnaleźć nie było można.

— Uważaj trochę i bądź żwawszy w robocie — upominała brata Melcia, która z zapalem wydobywała rybki, ukazujące się w tak wielkiej ilości, że Iwonek obiema rękoma nie nadążał wkładać je do worka.

— Może już dosyć będzie — odezwiała się wreszcie — oszczędzajmy nasze zapasy!...

— Biedna mewa, zabraliśmy jej całe pożywienie, nie zostało jej nic na obiad! — biadał Iwonek.

— To prawda, ale zaraz jej podam gotowiuteńki! I Melcia wyjęła z worka kilka rybek, obciąła łebki i rzuciła na piasek. Oddalmy się teraz trochę Iwonku, a zobaczysz jak mewa zajadać je będzie; w ten sposób, żywiąc ją potrochu, oswoimy ją sobie, bo ze swem złamanem skrzydłem, ptak jest niezręczny i dobrze zrozumie, że jesteśmy mu potrzebni.

Gdy dzieci usunęły się na bok o kilka kroków, mewa poskoczyła zaraz i z właściwą sobie żarłocznością połykała rybki, nie gardząc też ich główkami, następnie, po chwili wahania, zbliżyła się do swych dobroczyńców, patrząc im w oczy, jakby chciała prosić jeszcze o więcej.

— Daj jej Melciu jeszcze, ona taka milutka, już ja sam wolę się obejść bez rybek!... — zawołał chłopiec.

— Dosyć ma na ten raz, bo przecież jadła zanim przyszedłszy tutaj. Zresztą rybki będą mi potrzebne do niespodzianki, którą ci obiecałam...

— Ach, prawda, ta niespodzianka! — zawołał z ożywieniem brat. — Powiedz mi jednak jak to być może, żeś mi obiecała zanim jeszcze spostrzegłem te rybki, a teraz mówisz, że ci są potrzebne.

— Wróćmy już do groty — odpowiedziała Melcia omijając pytanie — postaraj się zdrzemnąć, zanim ja obiad przysposobię.

Zaledwie chłopiec wyciągnął się na posłaniu, już dobroczynny sen skleił mu powieki. Dziewczynka tymczasem rozpałała ogień i przystawiając doń garnek z wodą, do której wrzuciła duży ostrugany kartofel, szepnęła do siebie:

— Lekkomysłnie to trochę dziś właśnie, ale niechże już będzie!

Gdy kartofel był już prawie ugotowany, Melcia włożyła do garnka kilkanaście rybek i cztery połamane w kawałki suchary, doprawiła to wszystko solą, która znajdowała się między szczelinami skał, wystawionemi na działanie słońca.

— Gdyby tak jeszcze trochę masła — myślała mała kucharka — zupa byłaby znacznie lepszą. Już jadłam raz taką, zrobioną w karczmie przez marynarza z Marsylii — on ją nazywał polewką z ryb — ojcu bardzo smakowała, a i mnie również. Ciekawa jestem co też Iwonek powie na nią?...

Gdy polewka była już gotową, Melcia obudziła brata.

— Czy to już dzień — zapytał malec przeciągając się.

— Nie, to dopiero noc nadchodzi i obiad wraz z nią, podnieś się więc!...

— Ach, mój Boże, jakże tu pachnie cudownie! Zdawałoby się, że to zupa gotowana przez mamę! — zawołał Iwonek, zeskakując z posłania i siadając obok siostry, która postawiła garnek na desce, szybko też zagłębił w nią łyżkę.

(d. c. n.)

S Z A R A D A.
Narcy z Atlanty.

Moja *pierwsza*, w głoskę rzędzie,
Zawsze pierwszą także będzie
Moja *druga*, dziwne zwierzę,
Ni je zdoła włos czy pierze
I chociaż nie jest rycerzem
Twardym się zbroi pancerzem,
Swym barwom nie zawsze stały,
Czy to wielki czy to mały.
Moje *wszystko*, ludzie piją,
Ale gdy go nadużyją,
Wnet zapomną o jedności
I o człowieka godności.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA
ułożył Stanisław J.

Ułożyć 10 wyrazów, których początkowe litery złożą imię i nazwisko słynnego malarza, a końcowe nazwisko powieściopisarza bieżącego stulecia. 1) Owad z rodzaju prądków. 2) Zwycięzca nad Granikiem. 3) Zbiór wiadomości ułożonych podług pewnej myśli. 4) Miasto na wybrzeżu Koromandel. 5) Zbieracz starożytności. 6) Góra w Szwajcarii w północ. Jura. 7) Postać biblijna. 8) Rzymski, dwulicowy bóg. 9) Miejscowość n. Nilem, gdzie uiny stubramnych Teb. 10) Zaimek osobowy w liczb. mn. Sylaby: Je—a—an—na—ten—e—ja—kar—o—dwa—le—ksan—u—dras—ty—dre—zaw—nus—kwa—nak—ni—bnik—ryusz—ka—der—ma.

ŁAMIGŁÓWKA ARYTMETYCZNA.

Celinka idąc do szkoły miała zabrać z sobą 12 książek, 7 zeszytów, 1 piórniki, 4 arkusze bibuły, 1 nożyk, 22 arkusze papieru, 9 piór, 3 obsadki, 4 ołówki i 1 atlas; zapomniała przecież wziąć obsadki i 4 książki, zgubiła w drodze 1 zeszyt, scyzoryk, 2 ołówki i 1 arkusz bibuły, ileż więc przedmiotów powinna była przynieść do szkoły, a ile ich przyniosła? Wracając do domu znalazła 1 ołówek i nożyk, lecz w szkole zostawiła 2 książki i 4 zeszyty, ile więc przedmiotów przyniosła napowrót do domu?

ROZWIĄZANIE DO N-ru 10-go

Zagadki: Człowiek.

Łamigłówki sylabowej:

1) Aland. 2) Derwisz. 3) Agami, 4) Madera. 5) Murad. 6) Imieniny. 7) Cincinnati. 8) Katalog. 9) Ikar. 10) Eubea. 11) Wąż. 12) Inflanty. 13) Cymon. 14) Zima. Adam Mickiewicz — Dziady i Grażyna.

Skrzynka do listów.

P. G. Z. z S.: Nadesłanej nam łamigłówki nie możemy drukować, musielibyśmy bowiem zmienić pisownię wyrazu: *kąpas*, na właściwą to jest *kompas*, a wtedy wypadłyby kombinacje liter, do których wyrazów wyszukać niepodobna, oprócz tego łamigłówka jest za długa i za trudna do naszego pisma.

Lubo jak powiadają w przysłowiach, szukać należy mądrości narodów, nie godzimy się wszakże bezwzględnie z wybranem przez *Kielczanina* do ułożonej przez niego łamigłówki, stawia nas ono bowiem w sprzeczności z obowiązkiem kochania i szanowania tych, których nam Bóg dał za najpierwszych przewodników w życiu. Nauka chrześcijańska i tu jak wszędzie wskazuje nam najlepiej jak postępować mamy w każdym wypadku. Postęp zresztą umysłowy i moralny trudniejszy byłby jeszcze do osiągnięcia, gdybyśmy powiedzieli sobie z góry: *Jakie drzewo taki klin, jaki ojciec taki syn.*

Pesłaliśmy ci już *Zawierucho* początek powieści „Orla skała”, oraz „Smaragd Inkasów.” Czasu, w którym drukować będziemy powieść o którą zapytujesz jeszcze obecnie oznaczyć nie możemy. W każdym razie nastąpi to niezadługo.

Otrzymałszy twój bilecik tak starannie napisany *Janinko J.* wysłaliśmy żądany początek powieści.

W poprzednich odpowiedziach naszych zamieściliśmy cię *Stasiu W.* na liście czytelników trafnie odgadujących łamigłówki, ta którą przysłałaś przejrzaną będzie.

Gustaw J. zechce może na układane przez siebie zadania konikowe wybierać tematy nie tak karcąco przemawiające do czytelników, gdyż zbyt surowość zawsze zraża.

Dziękujemy ci *Kogucik* za życzliwe wyrazy. Łamigłówki drukowane będą, gdy się okażą odpowiednie.

Chętnie się godzę na korespondencję z tobą. Przyjaciółko ptaszków, a tem samem dla mnie życzliwą; podejmuję się nawet pośredniczyć w stosunkach twoich z Redakcją i składać jej nadsyłane mi łamigłówki; w takim razie jednak, musisz te zadania wyrażnie agramentem spisywać, nasza Redakcja bowiem wymaga od swoich korespondentów staranności i porządku.

Zawiodłaś mnie wesoła Figlarko! Zapowiedzianego listu zbiorowego, pełnego żartów i śmiechu, jaki miałaś do mnie napisać 27 z. m. wyczekiwałam dotychczas nadaremnie. Z Jaskółką łatwa sprawa, ufając niezmiennie życzliwości pocziwych serduszek przebaczy łatwo zawód każdy, uwzględni nieakuratność; w dalszych jednak stosunkach z ludźmi, bądź ostrożną Figlarko w udzielaniu obietnic, których spełnienia nie możesz być pewną, gotowi cię bowiem posądzić o niesłowność, przed którym to zarzutem radaby cię zabezpieczyć życzliwa:

Jaskółka.

Od Redakcyi.

Przy kończącym się kwartale przypominamy odnowienie prenumeraty na

„WIECZORY RODZINNE,”

które wychodzić będą kwartale przysług pod tymi samymi co dotąd warunkami i w tymże samym kierunku:

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1. — Na prowincyi rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 kop. 50, kwartalnie rs. 1 kop. 25. — We Lwowie i Krakowie kwartalnie zlr. 2. — W Poznaniu kwartalnie m. 3.